

ANTTI TUOMAINEN

W EKRANIZACJI POWIEŚCI
GŁÓWNĄ ROLĘ ZAGRA
STEVE CARELL!



CZYNNIK KRÓLIKA

ALBATROS

Fiński tytuł oryginału:
JÄNISKERROIN

Angielski tytuł przekładu:
THE RABBIT FACTOR

Copyright © Antti Tuomainen 2020

All rights reserved

Published by agreement with Salomonsson Agency

Polish edition copyright © Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o. 2023

Polish translation copyright © Łukasz Praski 2023

Redakcja: Joanna Kumaszevska

Projekt graficzny okładki oryginalnej: Mark Swan

Opracowanie graficzne okładki polskiej: Justyna Nawrocka

Zdjęcia na okładce: 1000SHADES/Shutterstock (*postać mężczyzny*);
Chaiyoot Wilipun/Shutterstock (*królik*)

ISBN 978-83-6775-755-3

Wydawca

Wydawnictwo Albatros Sp. z o.o.

Hłonda 2A/25, 02-972 Warszawa

wydawnictwoalbatros.com

Facebook.com/WydawnictwoAlbatros | Instagram.com/wydawnictwoalbatros



Niniejszy produkt jest objęty ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że publiczne udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Konwersja do formatu ...

...

...

TERAZ

SPOGLĄDAM KRÓLIKOWI W OKO i nagle gasną światła.

W lewej dłoni ściskam tubkę przemysłowego kleju, w prawej śrubokręt i nasłuchuję.

W półmroku królik wydaje się rosnąć. Pęcznieje mu głowa, wytrzeszczają się oczy, końce uszu uciekają w górę i nikną w mroku, przednie zęby krzywią się jak ciosy słonia. Trzymetrowa figura potężnieje w ułamku sekundy; wygląda na dwa razy wyższą, dwa razy szerszą i znacznie groźniejszą, jakby strzegła tej ciemności. I odnoszę wrażenie, że patrzy na mnie jak na smakowitą marchewkę.

Oczywiście to wszystko nieprawda. Ogromny niemiecki królik jest zrobiony z plastiku osadzonego na metalowym szkielecie.

Hala jest wielką, wysoką i pustą przestrzenią. Fun-Landia. Wciąż czuć tu zapach dziecięcych harców i fast foodu; można odnieść wrażenie, że całe ubranie przesiąka aromatami słodkich wypieków.

Stoję między Ślizgaczem a Lokomotywą z Komodo i czekam. Drabina obok mnie rzuca długi cień na podłogę.

Do środka sący się blask lampy nad głównym wejściem, a liczniejsze i większe światelka maszynerii rozstawionych po całej hali karuzeli mrugają. Powstaje gęsta, mglista poświata, przetykana zielenią napisu WYJŚCIE oraz pomarańczowymi i czerwonymi punkcikami lampek czuwania i zasilania.

Jeszcze niedawno w takiej sytuacji zakładałbym, że światła zgasyły z powodu przerwy w dopływie prądu albo problemu technicznego z instalacją oświetlenia. Ostatnie zdarzenia nauczyły mnie jednak, że to, co kiedyś według zasad rachunku prawdopodobieństwa wydawało się przypuszczalne, najczęściej nie mieści się w granicach możliwości. I odwrotnie: to, co kiedyś mogłem wykluczyć za pomocą prostego obliczenia współczynników prawdopodobieństwa i analizy ryzyka, dziś jest częścią mojego życia.

Kroki. Nie wiem, dlaczego nie usłyszałem ich wcześniej.

Ostatni klienci wyszli z hali godzinę temu. Ostatnia osoba z personelu trzydzieści minut później.

Od tego czasu pracowałem samotnie, sprawdzałem karuzele i maszyny, przeczołgałem się nawet przez Truskawkowy Labirynt, w gumowych rękawiczkach, bo dzieci zostawiają w labiryncie przeróżne rzeczy, od jedzenia przez części ubrania po zawartość pieluch. Wspinałem się na mnóstwo platform, galerii i przejść, posprzątałem Tunel Duchów i wyczyściłem większość Żółwiochodów, sprawdziłem, czy pnącza w Zamku Harców nie splątały się i są w pełni sprawne, dobrze umocowane na masztach i gotowe na jutrzejszą wizytę armii małych Tarzanów o

lepkich rączkach. A potem zająłem się zepsutym królikiem. Nie rozumiem, jak komuś udało się utrać mu prawe ucho. Nasady uszu znajdują się na wysokości dwóch i pół metra. Przeciętny wzrost naszych klientów wynosi około stu dwudziestu centymetrów, a mediana jest jeszcze niższa.

Z pewną dozą precyzji ustalam, że kroki dochodzą z okolicy kawiarenki Kręcone Ciacho. Ktoś stara się poruszać jak najciszej, ale uniemożliwia mu to potężne cielsko.

Przesuwam się parę metrów w bok, a potem robię kilka szybkich kroków w stronę Zamku Harców. W tym momencie po raz pierwszy udaje mi się zobaczyć intruza. Zwalisty mężczyzna w ciemnym ubraniu bardzo ostrożnie stawia każdy krok. Chyba szuka mnie u stóp królika, ale zdążyłem się już schronić w cieniu garażu Żółwiochodów. Cofam się dalej, w kierunku bram Zamku Harców, skąd prowadzi przejście za Sekretny Wodospad. Oczywiście wodospad nie jest prawdziwy – to ścianka wspinaczkowa zrobiona z niebieskich lin. Kiedy tam dotrę, będę miał zupełnie inny kłopot, a mianowicie jak wydostać się z Zamku Harców. Nie zamierzam jednak próbować ucieczki jednym z Żółwiochodów, które osiągają prędkość dziesięciu kilometrów na godzinę.

Tymczasem mężczyzna przystanął przed królikiem. Widzę go z profilu, a lampa awaryjna nad głównym wejściem oświetla go od tyłu, tworząc wokół ogolonej czaszki zjadliwie zieloną aureolę. Mężczyzna trzyma coś w prawej dłoni. On i królik są jakieś dwadzieścia metrów ode mnie. Wejście do Zamku Harców mam na godzinie dziesiątej, w odległości około siedmiu metrów. Bezszelestnie robię kilka

kroków. Gdy mam za sobą połowę drogi, mężczyzna nagle się odwraca. Na mój widok unosi rękę.

Nóż.

Lepsze to niż pistolet. Niewątpliwie. Mimo to nie zamierzam obliczać poszczególnych współczynników prawdopodobieństwa.

Daję nura do Zamku Harców. Pokonuję pierwszą część – chybotałymi schodki – i słyszę za sobą nieznanego. Nie woła, żebym się zatrzymał, nie wrzeszczy. Przyszedł mnie zabić. Pomieszczenie z pochyłymi podłogami jest wyposażone w poręcze, które pomagają mi się poruszać. Ucieczka okazuje się trudniejsza i wolniejsza, niż się spodziewałem. Przez dwa plastikowe okna przenika trochę światła. W wejściu ukazuje się ścigający mnie zbir. Przystaje, być może po to, by ocenić sytuację. A potem rusza za mną. Wolną ręką łapie się poręczy, żeby nabrać rozpędu, i zaciska na niej palce jak na sztandze. To działa, więc zaczynam wątpić w swój plan.

Dopadam do drzwi, wchodzę w obrotowy Tunel Fikołków długości metra i natychmiast padam na prawy bok. Rura kręci się, jakby była oddzielnym elementem, zupełnie niezależnym od reszty. Parę razy tracę równowagę, zanim udaje mi się stanąć na czworakach. Pełznę w stronę wylotu tunelu, ale gdy wchodzi do niego zwalisty drab, całe moje balansowanie zdaje się na nic. Nie jestem w stanie nawet klęczeć, podpierając się dłońmi. Słyszę, jak napastnik obija się o ściany i dno tunelu. Nie krzyczy. Dźwięk, jaki z siebie wydaje, bardziej przypomina głośne parskanie czy pomrukiwanie. Obracamy się w rurze jak dwaj pijani beznodzy kumple.

Dogania mnie.

Udaje mi się dotrzeć na koniec tunelu, pełzną jeszcze metr, potem drugi, aż wreszcie gramolę się na nogi. Świat kołysze się i wiruje; mam wrażenie, jakbym zmagał się z nawałnicą. Podchodzę do atrakcji, która nazywa się po prostu Stopnie. Te niskie kolumny, których wierzchołki są przeznaczone dla znacznie mniejszych stóp niż moje, mają do odegrania ważną rolę w moim planie. Dlatego wciąż mam w dłoni tubkę superkleju. Napastnik usiłuje utrzymać równowagę i porusza się wolniej, więc klej będzie skuteczniej przytrzymywał podeszwy jego butów.

Chwiejnym krokiem idę dalej, zostawiając za sobą ślad kleju. Kolumny wyglądają jak zawieszone w powietrzu gdzieś między pierwszym a drugim piętrem głównej hali. Tu jest jaśniej – jakby wszystkie światła punktowe w pomieszczeniu połączyły się, żebym wiedział, gdzie stawiam stopy. Czuję się jak linoskoczek balansujący w nocy rozjaśnionej blaskiem gwiazd. Staram się trzymać Stopni. Pod spodem nie czyha żadne niebezpieczeństwo, czeka tylko głębokie morze miękkiej gąbki. Upadek jednak fatalnie spowolniłby moją ucieczkę. Oglądam się przez ramię i widzę...

...nóż.

W tym momencie na widok ruchu ręki nieznanego przypominam sobie, że nóż nie jest przeznaczony wyłącznie do walki wręcz. Można też...

...nim rzucać.

Ostrze przecina powietrze. Uchylam się tak szczęśliwie, że nie przebija mi serca. Czuję tylko draśnięcie na lewym

ramieniu, ale nie ukłucie. Upuszczam tubkę kleju. Z wewnętrznej kieszeni kurtki mężczyzna wyjmuje drugi nóż. Pędzę w kierunku Flippera. W tym momencie zbior po raz pierwszy się do mnie odzywa.

– Stój! – krzyczy. – Ostrzegam cię! Chcę ci pokazać...

Jego argumentacja mnie nie przekonuje. Wbiegam do sali Flippera. W ciemności wpadam na miękki gumowy słupek, potem na drugi. W następny uderzam skałeczoną ramieniem. Ból przeszywa całe ciało i niemal rzuca mnie na kolana. Jestem ludzką kulą w zaciemnionym flipperze naturalnej wielkości. Jedyne światło wpada przez drzwi. Środek pomieszczenia tonie w nieprzeniknionym mroku. Pozytywna strona mojego położenia jest taka, że celny rzut drugim nożem w tym gąszczu barier wydaje się niemożliwy. Wyciągam przed siebie prawą rękę, a łapy flippera miotają mną między słupkami a gumowymi ścianami. Kierując się w stronę światła, cały czas słyszę, jak urządzenie rzuca ścigającym mnie mężczyznę tam i z powrotem, i liczę na to, że klej na butach utrudni mu pościg.

Docieram do wodospadu i wślizguję się między linami do wnęki drzwi prowadzących do magazynu. Z kieszeni spodni wyciągam klucze. Klucz obraca się w zamku, ale drzwi nie chcą się otworzyć. Szarpię klamkę, po chwili uświadamiam sobie jednak, co się stało. Zmieniono wszystkie zamki tak, by dało się je otwierać jednym kluczem. Tylko dlaczego zrobiono to akurat dzisiaj i dlaczego nikt mi o tym nie powiedział?

Wracam do wodospadu i przechodzę przez kaskadę. Widzę, że mężczyzna stoi na platformie naprzeciwko mnie

i odkleja od podeszwy kawałek wykładziny. Robię jedyną możliwą rzecz: biorę rozbieg i skaczę. Spadam lotem nurkowym i z hukiem ląduję na zjeżdżalni. Ból jest tak okropny, że z ust wyrwa mi się krzyk. Zjeżdżam krętą blaszaną rynną. Przez całą drogę w dół rana na mojej ręce dotkliwie uświadamia mi odchylenia siły grawitacji. Zjazd i ból tworzą połączenie nie do przyjęcia, jak rower bez siodełka – jakoś dojedziesz do końca, ale siadanie nie wchodzi w grę.

Na dole spadam na miękką matę i wstaję zbity z tropu. Ze zjeżdżalni nie dochodzą żadne odgłosy. Napastnik na pewno do niej nie wskoczył. Nie widzę górnych platform, ale zakładałam, że wciąż tam jest.

Jeszcze raz okrążam cały Zamek Harców, a potem biegnę z powrotem do królika, za którym jest wyjście. To długa droga, lecz nie mam innych możliwości. Klucze, które mam, nie będą już pasowały do żadnych drzwi, a te wejściowe można otworzyć od wewnątrz bez klucza. Zatrzymuję się przy ostatnim rogu, wyglądam zza niego i nasłuchuję. Niczego nie widzę ani nie słyszę.

Rzucam się sprintem prosto w stronę królika. Biegnę, biegnę i gdy jestem parę kroków od celu, zza królika wyłania się wielki, barczysty mężczyzna. Dopiero po ułamku sekundy uświadamiam sobie, co widzę. Można łatwo wyjaśnić, jak udało mu się tu dostać tak szybko i cicho: przypadkiem lub celowo okleił sobie podeszwy kwadratowymi kawałkami gąbki. Zeskoczył z platformy, a miękka warstwa wytłumiła jego kroki.

Wzbiera we mnie złość.

Biegnę dalej. Myślę tylko o króliku. Wpadam na niego z impetem i przewracam go na zbira. Wszyscy padamy na betonową podłogę. Mężczyzna i ja w tym samym momencie dostrzegamy, że leżymy obok siebie. On reaguje pierwszy. Gdy udaje mi się częściowo wyswobodzić, atakuje mnie nożem. Ostrze kaleczy mnie w udo i trafia w panele podłogowe pod nami. W ten sposób przygwaźdża mnie do podłoża. Nie mogę się ruszyć. Krzyczę i rozpaczliwie wymachując rękami, łapię pierwszą rzecz, jakiej udaje mi się dosięgnąć.

Ucho królika.

Znowu odpadło.

Chwytam gigantyczne ucho i walę nim na oślep, mierząc w stronę napastnika. Broń w coś trafia. Wstaję i rozrywam spodnie. Zbir znowu sięga do kieszeni kurtki. Ciekawe, trzeci nóż? Nie, to by było za dużo. Działam, zanim zdąży nim rzucić albo zadać mi cios. Walę jeszcze raz i jeszcze, i jeszcze.

Wypuszczam ucho z rąk. W holu wejściowym jest pusto i cicho. Słyszę tylko własny zdyszany oddech. Rozglądam się. Hala wygląda inaczej.

Park przygody dla całej rodziny.

Nagle trudno mi sobie przypomnieć splot okoliczności, w którego wyniku zostałem człowiekiem odpowiedzialnym za to miejsce. To i wiele innych rzeczy – wszystko wydaje się nagle nieprzewidywalne, poza wszelką kontrolą.

Jestem aktuariuszem.

Z reguły nie prowadzę parków przygody, a już na pewno nie tłukę ludzi na śmierć gigantycznymi uszami

plastikowego królika.

Jak jednak wspomniałem, od pewnego czasu moje życie
wymyka się rachunkowi prawdopodobieństwa.

TRZY TYGODNIE I PIĘĆ DNI WCZEŚNIEJ

1

KANNELMÄKI WE WRZEŚNIU. NIE znam piękniejszego miejsca. Płomiennie pąsowe liście i najbardziej konkurencyjne ceny domów w Helsinkach.

Poranek na przedmieściu przyniósł zapach jesieni – udowodniono naukowo, że tutejsze powietrze jest najbardziej rześkie w mieście. Na powierzchni dużych liści w różnych odcieniach czerwieni i żółci drżały krople rosy, mieniające się w świetle wschodzącego słońca niczym lekkie jak piórko lusterka. Stojąc na balkonie mojego mieszkania na czwartym piętrze, znowu uświadomiłem sobie, że jestem w absolutnie właściwym miejscu i nic na świecie nie zmusi mnie do zmiany tego zdania.

Okolice wokół stacji kolejowej Kannelmäki jest najefektywniej zaprojektowaną częścią Helsinek. Od drzwi domu na stację miałem dwie i pół minuty szybkim marszem. Pociąg miejski dowoził mnie do pracy w Pasili w ciągu dziewięciu minut, a raz w miesiącu jechałem trzynastą minut do kina w centrum. Dzięki bliskości centrum miasta mieszkania w Kannelmäki są warte swojej ceny i dobrze

je zaprojektowano, stawiając na funkcjonalność i świetne wykorzystanie powierzchni. Nie było w nich żadnych elementów dekoracyjnych, niczego zbędnego.

Domy zbudowano w połowie lat osiemdziesiątych, w czasach optymalnego i racjonalnego rozumowania. Niektórzy twierdzili, że ta część miasta jest nijaka, wręcz przygnębiająca, ale może dlatego, że widzieli tylko fasadę, kanciastą powtarzalność i ogólną szarość dzielnicy, co samo w sobie było mistrzowskim osiągnięciem uniformizacji. Popełniali jednak typowy dla ludzi błąd: nie przeprowadzali szczegółowych obliczeń.

Bo – wiem to z doświadczenia – właśnie obliczenia mówią nam, co jest piękne, a co nie.

Kannelmäki jest piękne.

Jeszcze raz głęboko odetchnąłem i wróciłem do środka. W przedpokoju włożyłem buty i kurtkę. Zasunąłem zamek, zostawiając odrobinę luzu pod szyją. Mój krawat imponował równym i proporcjonalnym węzłem. Spojrzałem w lustro i rozpoznałem mężczyznę, który z niego spoglądał. W wieku czterdziestu dwóch lat miałem w głębi duszy tylko jedno pragnienie.

Chciałem, by wszystko było sensowne.



MATEMATYKA AKTUARIALNA TO DYSCYPLINA łącząca matematykę i analizę statystyczną w celu oceny prawdopodobieństwa – albo ryzyka – każdej ewentualności, żeby określić wysokość składki ubezpieczeniowej korzystnej pod względem finansowym z punktu widzenia ubezpieczyciela. Taka

definicja, jak wiele innych oficjalnie brzmiących, a więc z założenia nudnych sformułowań, wydaje się trudna do zrozumienia. A nawet jeśli nie wydaje się trudna, niewiele osób zwraca uwagę na jej ostatni człon, a tym bardziej nie zastanawia się nad znaczeniem słów „korzystna pod względem finansowym”.

Firmy ubezpieczeniowe istnieją po to, by przynosić zysk, który dochodzi nawet do trzydziestu procent, jeśli chodzi o ubezpieczenia od wypadków. Niewiele przedsiębiorstw osiąga dochody takiej wysokości dzięki sprzedaży jednego produktu. Firmom ubezpieczeniowym udaje się to jednak, bo wiedzą, że ludzie nie mają innego wyjścia. Można się nie ubezpieczać – każdemu wolno podejmować własne decyzje – ale w sumie większość ludzi decyduje się wykupić polisę przynajmniej na dom. Ubezpieczyciele wiedzą też, że ludzie są mało odporni i że ich talent do pakowania się w kłopoty znacznie przewyższa zdolności innych gatunków. Dlatego też od jakiegoś czasu firmy ubezpieczeniowe na całym świecie obliczają, jak często w przyszłym roku ludzie będą tracić równowagę i przewracać się we własnym ogrodzie, jak często będą wkładać przedmioty różnej wielkości i kształtu do różnych otworów ciała, jak często będą wrzucać tłący się węgiel z grilla do kosza na śmieci, zderzać się ze sobą na nowiutkich skuterach wodnych, sięgać na najwyższą półkę, by znaleźć coś za rzędem szklanych wazonów, po pijanemu opierać się o nóż do sushi i jak często będą puszczać sztuczne ognie we własne oczy i oczy innych...

Dzięki temu ubezpieczyciele wiedzą dwie rzeczy: po pierwsze, że ludzie w zasadzie muszą kupować polisy; po

drugie, że niektórzy z klientów, lekceważąc dobre rady, bez wątpienia się podpałą. Pole działania aktuariusz rozciąga się właśnie między tymi dwoma czynnikami – między, powiedzmy, długopisem a zapalką. Mamy dopilnować, by mimo konieczności zrekompensowania cierpień niedoszłemu samobójcy, który próbował dokonać samospalenia, firma zarobiła na jego ubezpieczeniu, a także na sprzedaży polis wielu innym.

Tam właśnie było moje miejsce, między zatemperowanym ołówkiem a buchającym ogniem.

Pracowałem w dzielnicy Vallila. Wiosną zeszłego roku ukończono budowę nowego biurowca przy Teollisuuskatu i nasza firma przeniosła się do niego, zanim jeszcze wyschła farba. Gdy co dzień rano przychodziłem do biura na planie otwartym, zawsze czułem złość i rozczarowanie, jakbym nosił w sobie bryłę lodu, która nie chciała stopnieć: straciłem swój gabinet. Zamiast własnego gabinetu miałem teraz stanowisko pracy.

Sama nazwa powiedziała mi wszystko, co chciałem wiedzieć. Moje „stanowisko” było po prostu wąskim i ciasnym kawałkiem blatu na końcu długiego biurka. Przed nim stało identyczne. Za plecami miałem okno, a naprzeciw mnie siedział Miikka Lehtikainen, młodszy aktuariusz, który regularnie raczył mnie niekończącymi się anegdotami z grillowania. Siedzący po mojej lewej ręce Kari Halikko, młodszy analityk ryzyka, co chwilę bez powodu chichotał. Widocznie reprezentowali nowe pokolenie profesji aktuariuszy.

Nie lubiłem ich, podobnie jak nie lubiłem biura

na otwartym planie. Otaczało mnie za dużo hałasu, za dużo szczegółów rozpraszających uwagę, za dużo banałów. Ale przede wszystkim było tam pełno ludzi. Nie przepadałem za rzeczami, które najwyraźniej lubili inni: za spontanicznymi rozmowami, nieustannymi prośbami o rady i ich udzielaniem, ciągłym i marnym dowcipkowaniem. Nie rozumiałem, co to wszystko ma wspólnego z trudnymi obliczeniami prawdopodobieństwa. Przed przeprowadzką do nowej siedziby próbowałem tłumaczyć, że nasze biuro to dział kontroli ryzyka, nie Disneyland, ale moja argumentacja chyba nie wywarła wpływu na decydentów.

Spadła mi wydajność. Mimo to nie popełniałem błędów – w odróżnieniu od prawie wszystkich pozostałych. Ale pracę znacznie utrudniał mi bezustanny potok bezsensownej paplaniny, skupionej wokół stanowiska pracy Halikka.

Halikko śmiał się ze wszystkiego i większość czasu spędzał na oglądaniu filmików przedstawiających tyłki skoczków wzwyż, idiotyczne konkursy śpiewu albo ludzi z dziwnymi zwierzętami. Wszyscy się śmiali, jeden klip płynnie przechodził w następny, a Halikko rżał i rechotał. Uważałem to za niestosowne zachowanie jak na specjalistę od analizy ryzyka.

Drugą osobą zakłócającą spokój w pracy był Lehtikoinen, który non stop gadał. W poniedziałki relacjonował nam, co mu się przydarzyło w weekend, jesienią opowiadał o swoich wakacjach, w styczniu wysłuchiwałem szczegółów przebiegu Bożego Narodzenia w jego domu. U Lehtikoinena chyba stale coś się działo. W dodatku zdążył się już dwa razy ożenić i rozwieść, co moim zdaniem dowodziło kiepskiego

– niezbyt obiecującego – rozumienia pojęć „przyczyna” i „skutek”. Początkujący aktuariusz powinien być mądrzejszy.

Tego dnia, kiedy przyszedłem do pracy, obaj siedzieli przy swoich stanowiskach. Halikko drapał się po krótko ściętych włosach, a Lehtikainen z zaciśniętymi ustami wpatrywał się w coś na ekranie i bębnił palcami w poręcz krzesła. Obaj wyglądali na skupionych wyłącznie na pracy, co samo w sobie było zaskakujące. Spojrzałem na zegar na stole. Pokazywał dokładnie dziewiątą, czyli graniczną godzinę naszego elastycznego początku dnia.

Od przenosin do nowej siedziby co dzień zwlekałem z wyjściem z domu o mniej więcej trzydzieści sekund, by uniknąć bezsensownych pogawędek przed rozpoczęciem pracy, i taki był skutek: zjawiałem się w ostatniej chwili. To było nie w moim stylu. Postawiłem teczkę obok krzesła i wysunąłem je spod biurka. Po raz pierwszy usłyszałem odgłos twardych plastikowych kółek toczących się po wykładzinie. Wzdrygnąłem się na ten dźwięk, jakby ktoś przejechał mi po kręgosłupie zimnymi paznokciami.

Włączyłem komputer i sprawdziłem, czy mam na biurku wszystko, co będzie mi tego dnia potrzebne. Prowadziłem własną analizę wpływu zmian w częstotliwości kapitalizacji odsetek na optymalizację wypłat odszkodowania w stale zmieniającym się świecie ekonomii światowej i miałem nadzieję, że dziś zakończę swoje dwutygodniowe badania.

Cisza przypominała wodę w szklance, przezroczystą, ale mimo to konkretną, namacalną.

Wpisałem nazwę użytkownika i hasło, żeby zalogować się do systemu. Okienka na ekranie zadrżały. Czerwony

napis pod spodem poinformował mnie, że nazwa użytkownika i hasło są niepoprawne. Wstukałem je jeszcze raz, tym razem wolniej, by mieć pewność, że wielkie litery są wielkie, a małe małe oraz że każda litera znalazła się tam, gdzie powinna. Okienka znowu zadrżały. U dołu ekranu wyświetliły się dwie linijki czerwonego tekstu. Moja nazwa użytkownika i hasło były niepoprawne. Co więcej – ten napis był WIELKIMI LITERAMI – pozostała mi tylko jedna (1) próba podania właściwych danych. Zerknąłem nad monitorem na Lehtikoinena. Wciąż bębnił palcami w poręcz krzesła, gapiąc się przez okno na McDonalda po drugiej stronie ulicy. Patrzyłem na niego i jeszcze raz zastanowiłem się nad swoją nazwą użytkownika i hasłem. Oczywiście znałem jedno i drugie i wiedziałem, że przy obu próbach wprowadziłem je poprawnie.

Lehtikoinen nagle odwrócił głowę i nasze spojrzenia się spotkały. Po chwili równie gwałtownie spuścił wzrok i wbił go w ekran. Bębnienie ustało. Biuro wypełniał szum. Wiedziałem, że to klimatyzacja i że ją słyszę, bo nikt nie rozmawiał, ale nagle ten odgłos coś mi powiedział. Może właśnie to powstrzymało mnie od pytania Halikka, czy też miał kłopoty z zalogowaniem się do systemu.

Jeżeli wcześniej były jakieś problemy, już dawno się skończyły: Halikko klikał myszką, jakby próbował dostarczyć jej tysiąca drobnych impulsów naraz. Kiedy położyłem dłoń na klawiaturze, znowu poczułem na plecach zimne paznokcie. Ostrożnie poruszałem palcami, skupiając się na każdym naciskanym klawiszu. Wreszcie wcisnąłem ENTER, starając się zrobić to tylko raz, z

odpowiednią dawkę energii i zdecydowania.

Nawet nie mrugnąłem ani tym bardziej nie zamknąłem oczu. Ale wciśnięcie tego klawisza było znaczące, jakbym widział normalny dzień, a potem zasnął albo w jakiś inny sposób stracił świadomość, a kiedy ją odzyskałem, krajobraz przed moimi oczami zmienił się nie do poznania. Dzień stracił blask i barwy, środek ciężkości całego świata się przesunął. Okienko pośrodku ekranu drgnęło po raz trzeci. A ułamek sekundy później zupełnie zniknęło.

Usłyszałem znajomy głos:

– Koskinen, pozwolisz do mnie na chwilę?

2

– CHCIAŁBYM Z TOBĄ pogadać – oznajmił kierownik mojego działu, Tuomo Perttilä. – Zamienić parę słów o tym i owym.

Siedzieliśmy w jego gabinecie, przeszklonym sześcianie, który prócz braku prywatności miał jeszcze tę nieprzyjemną cechę, że siedzących osób nie rozdzielał stół. Dla mnie to było nienaturalne. Siedzieliśmy naprzeciw siebie jak u lekarza na badaniach – wołałem się nie zastanawiać, którego z nas należy uważać za pacjenta, a którego za doktora. Krzesła miały twarde i niewygodne metalowe ramy, na których nie mogłem znaleźć oparcia dla rąk. Położyłem je więc na kolanach.

– Chcę posłuchać – dodał Perttilä. – Posłuchać, co masz do powiedzenia.

Fizyczny dyskomfort to jedno, poczułem jednak, że znacznie trudniej przełknąć mi nową rolę Perttili. Ubiegałem się o stanowisko szefa działu. Byłem lepszym kandydatem, miałem większe doświadczenie. Nie wiedziałem, jak albo czym Perttilä – były szef sprzedaży – przekonał do siebie zarząd.

– Dzięki temu chyba obaj lepiej się zrozumiemy – ciągnął. – Uważam, że jeżeli obaj otworzymy się przed sobą, znajdziemy coś, co nas łączy, i podejmiemy decyzję. A właściwe decyzje zawsze podejmuje się wspólnie. Żeby tak się stało, musimy mieć poczucie, że rozmawiamy ze sobą po prostu jak ludzie, bez żadnych obciążeń, masek, zapominając o hierarchii służbowej, o narzuconych z góry regułach. Dwaj ludzie, którzy spotykają się przy ognisku, otwierają się na siebie nawzajem, chcą do czegoś dojść.

Wiedziałem, że taki język jest modny, wiedziałem, że Perttilä brał udział w niezliczonych kursach na ten temat. Naturalnie nie umiałem sobie wyobrazić nas gołych w środku lasu. Ale w jego retoryce krył się poważniejszy – bardziej fundamentalny – problem: nie przynosiła żadnych informacji, nie odpowiadała na żadne pytania.

– Nie bardzo nadążam – odparłem. – I nie rozumiem, dlaczego system nie chciał...

Zaśmiał się życzliwie. Jego twarz i głowa stanowiły idealną całość: golił się do skóry, był kompletnie łysy, więc kiedy się uśmiechał, można to było zobaczyć, nawet jeśli się stało za jego plecami.

– Przepraszam – rzucił. – Czasem trochę za bardzo mnie ponosi. Przywykłem do otwierania się, więc nieraz zapominam, że powinienem zostawić innym swobodę. – Jeszcze rok temu tak nie mówił. Rok temu miał normalny głos, ale po ukończeniu tych wszystkich kursów jego ton brzmiał jak coś między czytaniem bajek na dobranoc a negocjacjami z porywaczem przetrzymującym zakładników. Nie pasował do tego, co o nim wiedziałem. – Żebyś mnie

dobrze rozumiał, chcę ci zostawić swobodę. Mów, będę słuchał. Ale zanim zaczniemy, chciałbym cię o coś spytać.

Czekałem. Perttilä oparł łokcie na kolanach i pochylił się do przodu.

– Co sądzisz o tym, jak zostało zorganizowane to biuro, o pracy zespołowej, otwartości, wspólnym działaniu, dzieleniu się wiedzą w czasie rzeczywistym, o atmosferze wspólnoty?

– Jak już mówiłem, uważam, że to spowalnia pracę i utrudnia...

– Mam na myśli to, że wszyscy się angażujemy, wzajemnie się poznajemy, czujemy swoją obecność, uczymy się od siebie, ożywiamy w sobie uśpiony potencjał.

– No...

– Ludzie twierdzą, że odkryli swoje prawdziwe ja – ciągnął Perttilä. – Mówią, że osiągnęli nowy poziom świadomości, nie tylko jako matematycy i analitycy, ale też jako istoty ludzkie. Tylko dlatego, że celowo znieśliśmy granice. Wszystkie granice, wewnętrzne i zewnętrzne. Wspięliśmy się na wyższy poziom.

Perttilä miał głęboko osadzone oczy, a ciemne brwi utrudniały odczytanie wyrazu jego twarzy. Wyobrażałem sobie jednak, że głęboko za tymi oczami huczy ogień. Znowu poczułem na plecach paznokcie niepewności.

– Tego nie wiem – powiedziałem. – Trudno mi oceniać te... poziomy.

– Trudno oceniać... – powtórzył Perttilä i odchylił się na oparcie krzesła. – No dobrze. Jakich zadań jesteś gotów się podjąć?

Pytanie niemile mnie zaskoczyło. Trudno było mi utrzymać ręce na kolanach.

– Zadań, które już wykonuję – odpowiedziałem. – Jestem matematykiem, więc...

– Jak widzisz swoje miejsce w zespole? – przerwał mi Perttilä. – Co wnosisz do zespołu, wspólnoty, rodziny? Jaki jest twój wkład?

Podchwytliwe pytanie? Postawiłem na pełną szczerość.

– Matematyczny...

– Zapomnijmy na chwilę o matematyce. – Uniósł prawą dłoń, jakby chciał powstrzymać niewidzialny prąd przepływający przez gabinet.

– Zapomnieć o matematyce? – Oślupiałem. – Przecież ta praca opiera się na zasadach...

– Wiem, na czym się opiera. – Perttilä pokiwał głową. – Ale potrzebna nam wspólna droga, którą pójdziemy razem, bez względu na to, czy będziemy nieść w rękach matematykę, czy coś innego.

– W rękach? Obawiam się, że to nie ta część ciała – powiedziałem. – Tu chodzi o logikę. Do tego trzeba mieć głowę.

Perttilä oderwał plecy od oparcia krzesła, położył łokcie na kolanach i pochylił się. Odezwał się dopiero po dłuższej chwili.

– Kiedy przejmowałem stery, ten dział grzązał w błocie. Pamiętasz, wszyscy zamykali się w swoich pokojach, nad czymś pracowali i nikt nie wiedział, co robią inni. To nie było efektywne, nie było żadnego poczucia wspólnoty. Chciałem wprowadzić tę grupę gryzpiórków i astrofizyków

w dwudziesty pierwszy wiek. I to się udało. Fruniemy, wznosimy się do słońca.

– To niewskazane – zauważyłem. – Bez względu na okoliczności. Poza tym, nawet mówiąc w przenośni...

– Widzisz? Właśnie to mam na myśli. Ciągłe ktoś podkopuje wszystko, co robimy. Ktoś siedzi w swoim kąciku i zawzięcie liczy, jak cholerny zaginiony kuzyn Einsteina. Zgadnij kto.

– Zależy mi po prostu na tym, żeby wszystko było racjonalne, sensowne – oświadczyłem. – To nam daje matematyka. Konkretnie, wiedzę. Nie wiem, do czego nam potrzebne wewnętrzne dzieci i te... wykresy nastroju. Moim zdaniem są niepotrzebne. Potrzebujemy logiki i rozsądku. I właśnie to wnoszę.

– Wnosiłeś.

To jedno słowo zabolalo mnie bardziej niż wszystkie poprzednie. Znałem własną wartość w swoim zawodzie. Poczułem, jak przyspiesza mi puls i wali serce. To było zupełnie niestosowne. Niepewność uleciała i ustąpiła miejsca rozdrażnieniu i złości.

– Nikt nie ma takich kompetencji zawodowych jak ja, zresztą udoskonaliłem je dzięki doświadczeniu.

– Najwyraźniej nie wszystkie.

– Dzisiaj potrzebujemy...

– Dzisiaj potrzebujemy czegoś innego niż w latach siedemdziesiątych – przerwał mi Perttilä z widocznym wzburzeniem. – Mam na myśli lata siedemdziesiąte dwudziestego wieku. A może cofniemy się jeszcze dalej w przeszłość?

Zdałem sobie sprawę, że drgające okienko do wprowadzenia hasła to dopiero początek. Znałem Perttilę od tej strony. Teraz mówił swoim prawdziwym głosem.

– Posłuchaj no. Jako starszy aktuariusz możesz mieć dokładnie to, czego chcesz. Nie musisz być graczem zespołowym. Nie musisz korzystać z intranetu. Możesz siedzieć zupełnie sam i liczyć. Możesz mieć nawet własny pokój.

Wyprostował się. Siedział teraz na samym brzeжку krzesła.

– Wszystko jest przygotowane – kontynuował. – Twój gabinet jest na parterze, mały pokoik za dyżurką dozorców. Możesz sobie nawet zamykać drzwi. Masz tam notes i kalkulator. Nie musisz korzystać z wewnętrznej sieci. Dostajesz zadanie oszacowania wpływu inflacji z dwa tysiące jedenastego na składki ubezpieczeniowe w dwa tysiące dwunastym. Wszystkie materiały znajdziesz na biurku. O ile dobrze pamiętam, to około sześćdziesięciu teczek.

– Przecież to nie ma najmniejszego sensu – rzuciłem.
– Mamy dwa tysiące dwudziesty. Poza tym to już zostało obliczone, kiedy ustalaliśmy wysokości składek na tamten rok...

– W takim razie oblicz jeszcze raz, sprawdź, czy wszystko się zgadza. Lubisz takie rzeczy. Lubisz matematykę.

– Oczywiście, że lubię matematykę...

– Ale nie lubisz naszego zespołu, naszej otwartości, dialogu, nie lubisz tego, jak się porozumiewamy, otwieramy się na siebie, badamy swoje uczucia. Nie chcesz się

wyzwolić i ujawnić emocji, nie próbujesz zaufać chwili, nie ufasz nam. Nie podoba ci się to, co proponuję.

– Nie...

– Otóż to. Nie. A więc... – Perttilä sięgnął na biurko – jest jeszcze inne wyjście.

Podał mi kartkę. Szybko przeczytałem. Nie byłem już zły ani rozdrażniony. Zaniemówiłem. Z wściekłości. Spojrzałem na niego.

– Mam złożyć wymówienie?

Znowu się uśmiechnął. Uśmiech wyglądał prawie tak samo jak na początku naszej rozmowy, tyle że nie miał nawet cienia nikłej serdeczności, którą chyba wyczułem jeszcze chwilę temu.

– Wszystko zależy od tego, czego ty chcesz – powiedział.

– Ja chcę ci tylko podsunąć różne drogi.

– Czyli albo zajmę się bezsensownymi obliczeniami, albo będę uczestniczyć w amatorskich sesjach terapeutycznych, które przeszkadzają nam w poważnym myśleniu matematycznym najwyższej próby? To pierwsze jest bezsensowne, a drugie prowadzi tylko do dezorganizacji, chaosu i zguby.

– Zawsze jest jeszcze trzecia opcja – stwierdził Perttilä i wskazał głową na kartkę.

– Dokładność wymaga dokładności – powiedziałem, słysząc drżenie własnego głosu i bulgot krwi w żyłach.

– Metoda KonMari nie pomoże ci w magiczny sposób uzyskać precyzji w macierzach korelacji. Nie mogę należeć do zespołu, którego największą ambicją są weekendowe warsztaty sushi.

– Czekaj na ciebie pokoj na dole...

Pokręciłem głowę.

– Nie. To nie jest sensowne rozwiązanie, a ja chcę, żeby wszystko miało sens. Chcę postępować sensownie. A ta umowa jest... Wynika z niej, że musiałbym zrezygnować z sześciomiesięcznej odprawy, która mi przysługuje, i że składam wypowiedzenie ze skutkiem natychmiastowym.

– Bo to by była decyzja dobrowolna – odparł Perttilä znowu łagodnym głosem, jakby rozkoszował się jego dźwiękiem. – Jeżeli chcesz zostać z nami na tym piętrze, jutro rano jest obowiązkowe trzygodzinne seminarium o medytacji transcendentnej, które poprowadzi znakomity...

– Poproszę o długopis.



Z ICH TWARZY WYCZYTAŁEM, że już wiedzą. Na stanowisku pracy miałem tylko jeden osobisty przedmiot: zdjęcie mojego kota Schopenhauera. Opróżniłem skórzaną aktówkę ze służbowych papierów i włożyłem do niej fotografię. Zjechałem windą na parter i nawet nie rzuciłem okiem na dozorców ani drzwi za ich dyżurką. Wyszedłem na ulicę i nagle przystanąłem, jakbym w coś wszedł, jakby moje buty przykleiły się do podłoża.

Zostałem bezrobotny.

Ta myśl wydawała się nieprawdopodobna – w każdym razie mnie. Nigdy nie wyobrażałem sobie, że znajdę się w sytuacji, gdy rano nie będę wiedział, dokąd iść. Miałem wrażenie, że nagle zepsuł się wielki mechanizm utrzymujący porządek świata. Zerknąłem na zegarek, ale tak jak

przypuszczałem, było to zupełnie bezcelowe. Zegarek podał mi godzinę, lecz nie miała ona dla mnie żadnego znaczenia. Była dziesiąta osiemnaście.

Wydawało się, że dosłownie przed chwilą zastanawiałem się nad różnicą między prawdopodobieństwem warunkowym a prawdopodobieństwem pierwotnym i szukałem sposobu na zdefiniowanie niezależności matematycznej w dopełnieniach zdarzeń.

A teraz stałem przy ruchliwej drodze, bezrobotny, z teczką, w której nie miałem nic prócz zdjęcia swojego kota.

Zmusiłem się, by ruszyć z miejsca. Słońce grzało mnie w plecy, więc poczułem się odrobinę lepiej. Kiedy zobaczyłem stację Pasila, potrafiłem już spojrzeć na sytuację bardziej pragmatycznie, przez pryzmat logiki i rozsądku. Byłem doświadczonym aktuariuszem i wiedziałem więcej o branży ubezpieczeniowej niż Perttilä i cała jego zgraja razem wzięta, złożona z pseudopsychologów i analfabetów matematycznych. Powoli się uspokajałem. Niebawem będę pracował dla konkurencji.

Przecież to chyba nic trudnego znaleźć firmę ubezpieczeniową, która traktuje serio siebie i matematykę, prawda?

Na pewno nie, uznałem. Wkrótce wszystko będzie się rysowało znacznie jaśniej.

Po prostu wszystko będzie lepiej.

Zainteresowani tym, co będzie dalej?

Pełna wersja książki do kupienia m.in. w księgarniach:

- KSIĘGARNIE ŚWIAT KSIĄŻKI
- EMPIK

Oraz w księgarniach internetowych:

- swiatksiazki.pl
- empik.com
- bonito.pl
- taniaksiążka.pl

Zamów z dostawą do domu lub do paczkomatu – wybierz taką opcję, jaka jest dla Ciebie najwygodniejsza!

Większość naszych książek dostępna jest również **w formie e-booków**.
Znajdziecie je na najpopularniejszych platformach sprzedaży:

- [Virtualo](#)
- [Publio](#)
- [Nexto](#)

Oraz w księgarniach internetowych.

Posłuchajcie również naszych **audiobooków**, zawsze czytanych przez najlepszych polskich lektorów.

Szukajcie ich na portalu [Audioteka](#) lub pozostałych, wyżej wymienionych platformach.

Zapraszamy do księgarni i na stronę wydawnictwoalbatros.com, gdzie prezentujemy wszystkie wydane tytuły i zapowiedzi.

Jeśli chcecie być na bieżąco z naszymi nowościami, śledźcie nas też na [Facebooku](#) i na [Instagramie](#).